

KAJET WOJENNY DZIECKA LWOWSKIEGO

(Z PRZEŻYĆ W CZASIE OBLEŻENIA MIASTA LWOWA
OD LISTOPADA 1918 DO KWIETNIA 1919 ROKU).

UŁOŻYŁ I UWAGAMI ZAOPATRZYŁ

Prof. EDWARD HORWATH

• SŁOWO WSTĘPNE SKREŚLIŁ

Bryg. CZESŁAW MACZYŃSKI.



SZKOŁA POWSZECHNIA IM. H. SENKIEWICZA WE LWOWIE

WE LWOWIE.

NAKŁADEM POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO.

Z Drukarni L. Wiśniewskiego — LWÓW, PIEKARSKA 32.

1921.

W18b4c2

466548

Samuel Louis Hays

Gen. Nayson
of:amp.

Efforts

Nov 19. 1920. -

K-74/3228

15.3

301



MŁODZI W OBRONIE LWOWA.

Wkrótce po rozpoczęciu śmiertelnych, początkowo zdawało się beznadziejnych zapasów z podstępny, w ciągu nocy wykonanym zamachem wroga na polski Lwów i odwiecznie polską dzielnicę, rozległ się po całej Rzeczypospolitej okrzyk powszechny: „Dzieci i kobiety bronią Lwowa“. Wiele było w okrzyku tym narodowej dumy, wywołanej wspaniałym bezsprzecznie objawem zjednoczenia się wszelakich sił miejscowych w obronie polskości, zespolenia się wszystkich bez względu na stany i stanowe różnice czy agitacje, bez względu na wiek, ba, na płeć nawet. Częściej może jednak brzmiała w okrzyku tym nuta inna, nuta wyrzutu żołnierskiej, lub w wieku żołnierskim będącej młodzi polskiej, która w wielkiej mierze głuchą była na larum bojowe, od wschodnich kresów idące, nuta mniej lub więcej uzasadnionego wyrzutu wobec władz państwowych, lub partyj politycznych za rzeczywiste ich czy urojone w tej sprawie stanowisko.

Zew on częściowo żaloszny rozbrzmiał po całej Rzeczypospolitej, tej zjednoczonej i tej czekającej jeszcze z tęsknotą na połączenie z bracią własną, zew podziwu w okrzyku onym zawarty rozszedł się szerzej, ogarnął i inne nacje mniej lub więcej nam życzliwe.

Zamykano w okrzyku tym również całość obrońców, myślano, że wszystkich ich da się zamknąć w dwu jeno słowach. Nie znano procentowego ich stosunku do tych, którzy za broń chwycić byli obowiązani, nie wiedziano, ilu tych maluczkich ciałem, ale wielkich duchem miast toczyć zawody z strzelbą i szablą drewnianą przy boku, odprawowali igraszki swe chłopięce prawdziwą, śmiercionośną bronią.

Ilu ich było, nikt dziś cyfrowo — ściśle nie określi. Nie da się uzupełnić braków statystycznych z rzeczowych i podmiotowych względów. Rzeczowo trudno było prowadzić statystykę wieku, gdy czasu i ludzi brak było i gdy miało się do zwalczania nieprzewyciężoną trudność podmiotową. Każdy bowiem z „obywateli“ młodych przyczyniał sobie lat, snadź bojąc

się, by nie zrezygnowano z współpracy jego. Spotkany raz w linii bojowej chłopczyk wyglądał na dwunastolatka. Zapytany o wiek swój, podał go dumnie i buńczucznie, bez chwili wahania na lat 17 (to była bowiem najniższa granica poborowa). W krzyżowym ogniu pytań pod wpływem niedowierzania, pokazał wkrótce łzy w oczach, a przekonywany o bezcelowości kłamstwa, zniżał wiek swój. Doszedł jedynie do lat czternastu, na dalsze pójście w obniżaniu nie dał się już nakłonić.

Było ich jednak wielu i musiało ich być wielu. Jeżeli się bowiem zważy, że niecej pamięci Austrija wyciągnęła z Galicji wszystkich, prawie bezwzględnie wszystkich w wieku poborowym, jeżeli doda się do tego, że zwolniono z wojska nieznaczną jedynie garsteczkę poza „neutralnymi“, gdy zważy się na koniec, że wszystkich Polaków, służących w wojsku planowo i celowo usuwano z Galicji wschodniej, a ze Lwowa szczególnie (ilość oficerów-Polaków załogujących we Lwowie da się jeszcze wyrazić w pewnym choć nieznacznym procencie, ilość zaś żołnierzy da zaledwie nieznaczny ułamek procentu) zrozumie się, że mało było we Lwowie ludzi w wieku poborowym, którzyby obronę Lwowa na swe wzięli barki. Nieco uwolnionych lub ukrywających się legionistów, nieco na „polskich urlopach“ bawiących „austriaków“, nieco „królewaków“ szczęśliwych, że służyć nie potrzebuje, wielu inwalidów i chorych w szpitalach, niewielu na prawidłowych urlopach, oto wszystko. A z drugiej strony czerń liczna w grube tysiące idąca, skrupulatnie zbierana i do walki przygotowana, czerń i towarzystwo umiejętnie dobierane i dobrze wybrane. Nie wielu stanęło do walki z poza górnej granicy austriackiego wieku poborowego, więcej, znacznie więcej chwyciło za broń z pod dolnej granicy obniżonego jeszcze przez nas wieku. Przymusem ich nie ściągano, wszyscy stanęli dobrowolnie i ochotnie w szeregi, ba, każdy z nich z trwogą, czy go przyjmą.

Niezapomnianą będzie mi chwila, gdy w pierwszych dniach walki stanął przede mną chłopczyk, wyrastający niewiele głową ponad niski stół i z trwogą wyrecytował: „Obywatelu komendancie, proszę o przyjęcie do wojska i przeznaczenie bezwzględne na front“. Wytrwale obstawał przy prośbie swej ostatniej i był rozanielony, gdy przyrzekłem prośbę jego spełnić.

Wiek ochotników — szczególnie młodych — trudno szczegółowo podać, można jedynie określić granicę. Najstarszy z żołnierzy spędził mile w życiu swem 62 zaledwie wiosen, najmłodszy dźwigał na swych słabych barkach srogich zim dziewięć. A przecz zasługa ich jednak i funkcje ich takie same i równie cenne.

Nie będąc w możności podania dokładnej ilości tych „młodych“ z pod dolnej granicy wieku poborowego, można podać ogólnie ich stosunek do całości. Dochodził on do trzeciej części.

Stała do walki cała młodzież szkół wyższych częściowo z profesorami swymi, chwycili za karabin bojowy wszyscy uczniowie z wyższych klas szkół średnich, idąc za przewodem profesorów, których bardzo wielu wzięło czynny udział w walkach, nie brakowało w liniach tyralierskich młodych z klas niższych, spotykało się nierzadko i tych ze szkół wydziałowych, ba nawet ludowych. Ze szkół zawodowych, przemysłowych i przyszłych adeptów rzemiosł, zgłosili się chyba wszyscy we Lwowie, tylu ich bowiem i ciągle spotykało się, dzielnie funkcje swe pełniących. Wszyscy stanęli godnie i dzielnie wśród „obrońców Lwowa“ i nie powstała między nimi nigdy jakakolwiek różnica. Wśród nich utrzymał się jeno najdłużej „obywatel“ w przemowach; dogadzało to widocznie ich dumie i poważnemu na świat patrzeniu.

Wydał Lwów wiele, bardzo wiele przeznacznych matron polskich, godnych opiewania przez poetów, jak ona prawdziwa „Matka Spartanka“, która pocieszana u mar swego pierworodnego, takie znalazła słowa w bólu swym macierzyńskim: „Oddam z ochotą dalszych dwu jeszcze, byłem tylko mogła mieć pewność, że gród nasz do Polski należeć będzie“. Zdarzało się nierzadko, że matki same przyprowadzały swych jedynaków, czy milusińskich z prośbą użycia go wojskowo, jeśli przydać się może, wielu z wiedzą i aprobatą swych rodziców czy karmicieli zgłaszało się wprost do oddziałów, omijając zręcznie wszystkie komisje poborowe i badania lekarskie co do fizycznego ich rozwoju, były — choć niezbyt częste — wypadki wymykania się z pod groźnych powag i opiek macierzyńskich i udział ochoczy w walkach bez względu na przyszłe gromy i burze domowe. Wszyscy jednak i ci i tamci woleli pełnić służbę jak najdalej od swych domów, pragnęli, by nikt w domu nie wiedział o oddziałach i odcinkach, w których walczą. Dla wszystkich bowiem matki, mamy i mamusie były prawdziwym postrachem, były rzetelną plagą, unikaną niczem zaraza. Z chwilą ukazania się na widnokręgu groźnej powagi takiej, choćby obławowanej różnemi smakowitościami ciężarami, usiłowano zawsze wyminąć się z nią, nadto starano się ulżyć jej ciężarowi przez posłanych pośredników, ulżyć z synowskiej jedynie miłości.

Przecż zapanował taki anormalny stosunek do drogich i poszukiwanych zwykle matek? Nie służyły bowiem matki w wojsku i skąpe jedynie wojskowe wiadomości posiadały. Nie zdawały sobie więc sprawy z wagi i waloru roli, jaką spełniali ich synaczkowie. Niewiele z nich zadawała się widokiem synów, lub na miejscu uzyskanemi wiadomościami o zdrowiu, więcej z nich, rzechy można przeważająca nawet większość pragnęła mieć ich w domu, choćby na noc jedną, by się raz tylko w łóżku przespał, lub by wreszcie obmył się i zmienił bieliznę. Niewiele, ale to rzeczywiście bardzo niewiele chodziło

w myśli zabrania ich na stałe do domu. Tym nigdy się nie udało dopiąć swego celu i schwytanego, czy uwięzionego dłużej u siebie zatrzymać. Częściej nie wiedziały takie przez cały czas, gdzie i jaką funkcję syn ich pełni.

Nie wszyscy młodzi czuli w sobie tyle hartu i mocy ducha, jak on bohater czternastoletni, który stojąc na warcie, wytrzymał srogi wzrok mamusi i nie dopuścił jej bliżej, niż na przepisanych kroków ośm, gdyż nie znała hasła. Nie pomogły groźby, ni zaklinania, nie pomogło nic zawiniątko pod pachą niesione, usłyszała rozkaz twardy i pod groźbą karabinu wykonać go musiała: „Wstecz zwrot, marsz!“. Większa, znacznie większa część tych małych bohaterów, dla których nic nie znaczył rzeczywisty grad kul, wołała raczej unikać takiego spotkania.

Nie pomogły tu nawet starania w listopadowej komendzie naczelnej, która nie miała powodu utrudniać matkom zobaczenie się z synami, lub tajenie przed nimi rzeczywistego ich miejsca pobytu. Ale i ona była bezsilną, bo młodzi ci zważawszy pismo nosem, używali pseudonimów, albo nie reagowali zupełnie na ogłoszenia w rozkazach.

Zarządziłem raz na skutek starań rodziców poszukiwania za młodzieńcem, który niezupełnie jeszcze wyleczony po operacji gruźlicy kości, z nogą w gipsowym opatrunku wymknął się z domu i do boju stanął. Mimo umieszczenia w rozkazie, mimo telefonowania po wszystkich dowództwach, nie znaleziono go. Jakież było moje zdziwienie, gdy tego samego dnia, w którym odpowiedzi ojcom udzielono, spotkałem na jednej z wedet chłopca kulejącego. Dowiedziawszy się od niego o przyczynie, rzuciłem mu prawdziwe jego nazwisko, którego on się początkowo wyparł. Pod pseudonimem bowiem służył. Po długich ceregielach dopiero przyznał się, a jako powód niezgłoszenia się w komendzie podał z widoczną mokrą skruczą, że obawiał się, by go nie oddano do domu i nie zabroniono mu dalej walczyć.

Mały był jednak początkowo Lwów „polski“. Zdarzało się więc, że mimo młodzieńczego sprytu nie potrafili uniknąć bliskiego spotkania się. Wtedy matki niewykształcone wojskowo starały się zabrać ich do domu. Częściej udawało im się to, gdy oddział był w rezerwie. Lecz i wówczas wielu wołało nie opuszczać go, by broń Boże nie utracić przypadkiem czegoś, gdy ich w domu za długo zatrzymają.

Spiesząc raz autem na jeden z pierwszych regularnych bojów, jaki rozszalał na Wólce wczesnym rankiem, spotkałem wielu wytrwałych biegiem w tamtą stronę spieszących. Jeden z nich — malizna — ociekał już porządnie potem, mimo to biegł wytrwale, niosąc oburącz nad głową oparty karabin. Wzięty na auto opowiedział o całej tragedji z tragiczną, ba nawet płacziwą miną. Wczoraj pod wieczór przypadkowo spotkała go mama i przemocą zabrała do domu, by zjadł i przebrał

się. Ponieważ był w rezerwie, poszedł. Lecz wierz tu rodzicom. Nietylko nakarmili go, przebrali, ale położyli go do łóżka i kazali przespać noc jedną po trzech już w boju spędzonych. Uwierzył ich zapewnieniom, że w nocy nic nie będzie. Aż tu nagle bitwa i to właśnie na jego odcinku. Prawdopodobnie spóźni się teraz, bo już napewno rezerwy wsadzone. Co on komendantowi powie? Wszystkiemu winna mama, nigdy już więcej jej nie usłucha. Tak to wyrzekał na matkę rodzoną, choć ta rano pomagała mu się ubierać, byle się tylko nie spóźnił.

Myliłby się, ktoby sądził, że tylko dzieci lwowskie lub we Lwowie mieszkające w szeregach poszły. Już w pierwszych tygodniach listopadowych zgłosiło się kilkudziesięciu z różnych miejscowości byłej Galicji, zjechało ich sporo z odsieczą do Lwowa, zgłaszali się i później i to tak z pod Śląska jak i z Poznania, z pod Prus i z Warszawy.

Tak to spieszyli najlepsi w szeregi i stawali w obronie kresowej stolicy Rzeczypospolitej polskiej.

Marzeniem i pragnieniem wszystkich tych młodych i najmłodszych było pójść z karabinem w pierwszą zaraz linię. Takich było wielu... bardzo wielu. Nie wszyscy jednak dostępowali zaszczytu tego. Większa ich część musiała zadowolić się spełnianiem funkcji innych od równych bojowym ale lżejszych nieco aż do „kartoflanych“ i to tak z powodu wieku jak i rozwoju fizycznego, Prób sfalszowania jednego i drugiego było mnóstwo. Z wiekiem szło zwykle łatwiej, trudniej zaś z rozwojem fizycznym. Ale i tu spryt chłopięcy wynalazł moc sposobów, jak omijanie umiejętne badań lekarskich i komisji poborowych, lub fałszowanie kart poborowych, wymykanie się z odcinków o „ostrym doktorze“ na odcinki, gdzie eskulap był po-
bliżliwszym.

Najczęściej zaś korzystano z częstego naonczas przerzucania rezerw i przyłączano się do oddziałków takich, by w nowym miejscu mógł twierdzić, że już zbadany, przyjęty, zaprzysiężony itd. Czekano też czasami na bitwę i w czasie niej odrazu przymykał i „wkręcał się“ do linii bojowej.

Z tęsknotą spozierał więc każdy z nich na karabin, a gdy dostał prawdziwy i w kieszeni ostre naboje, duma jego nie znała już granic. Od razu myślał poważniej, choć nie rozważnie, od razu panować się starał nad karabinem, choć ten nierzadko większym był od niego, od razu stawał się „obywatelem“ i ten przydomek wytrwale wszystkim nadawał. Z jakim buńczuczным wzrokiem, z jakim poczuciem wyższości własnej mierzył on wówczas wszystkich rówieśników, którym nie dane było zająć tak wysoko, z jakim lekceważeniem, ba pogardą nawet patrzył na tych starszych i zgrzybiałych, którzy bez karabinów się pokazywali.

Walczyli wszyscy nieustraszenie. Nie istniało dla nich niebezpieczeństwo, nie zwracali uwagi na obfite żniwo śmierci, ba nie stosowali nawet nakazywanych ostrożności, jak przebywanie w rowach, strzelanie z pozycji leżącej, wykorzystywanie terenu itd. Każdy z nich chciał być rannym a chłopczyk pewien dostawszy od uderzenia odłamkiem zapalenia ucha wewnętrznego, narzekał, że „rany tej choć ciężkiej widać nie będzie“.

Do historii bohaterskiej przejść winien on Staszek, który nie mogąc dać sobie rady ze strzelaniem w pozycji leżącej, w szalonym ogniu karabinów maszynowych, w czasie rozwijającego się ruskiego ataku wstał i z najzimniejszym spokojem podszedł do pobliskiego, drewnianego parkanu. Oparłszy na nim karabin swój, rozpoczął wygodnie niszczycielskie swe dzieło. Z pozycji tej nie uszedł, mimo nawoływań i przestróg oficera.

Mistrzowskie podchodzenie nieprzyjaciela, urządzenie nań mniejszych napadów daleko poza frontem ukraińskim, nierzadko własnowolne, miejscowe ataki na wysunięte wraże placówki i wedety, a przytem szkodliwe i zwałczenie nieliczenie się z własnymi stratami, oto znakomite dzieła tych młodych. Czyny ich wielkie, choć ciała małe. Nie wszystkie jednak można było i da się zrejestrować. O jednym jeszcze wspomnę.

Trzech niezbyt podrosłych chłopczyków broniło jako „flankowe ubezpieczenie“ parowu na Wólce w drugim dniu walki. Cierpliwie czekali, ci „malcy“ dobrze ukryci i nie zdradzili się nawet, gdy wróg u wejścia jego się pokazał. Zachęcony tym — sądząc, że parów wolny — wszedł weń silny pluton około 60 chłopca liczący. Otworzyli na nich piorunujący ogień dopiero z odległości stu mniej więcej kroków. A jaki skuteczny. Mimo głośnej komendy dowódcy — w czysto ukraińskim języku dawanej jak: „Vorwärts“, „Schwarmlinie rechts“ itd. w popłochu i ucieczce salwowali swe cenne życie, zostawiając na polu bitwy 34 w rannych i zabitych.

Nie zaznał nigdy strachu ni obawy ten ochotniczy żołnierz polski. Żadne jedynie siły, żadne perswazje, ni tłumaczenia nie potrafiły powstrzymać go początkowo od ustawicznego strzelania w nocy. Objaw znany przy młodym świeżym żołnierzu.

Odwagi sobie tym dodawał, czy wołał niedowierzać w ciemną noc oczom, czy też spędział sen ze zmęczonych powiek swoich, dość, że od nastania gęstego zmroku aż do pierwszego brzasku szalona zawsze bitwa na całym froncie lwowskim szalała. Tak sądzićby można było po gęstej strzelaninie. Tygodni trzeba było i dość trudu i mozołu u dowódców, by doprowadzić młodego i niedoświadczonego żołnierza do potrzebnej rutyny.

Dziwił się nieraz, jakie masy amunicji potrafił wystrzelać taki młody żołnierz, dziwił się, że starczy mu sił na męczące — szczególnie przy austriackich karabinach — odciąganie zamków, podziwialiśmy wytrzymałość młodzieńczych bar-

ków i zębów. Szybkość strzałów w czasie nieprzyjacielskich ataków przekraczała znacznie konieczne granice. Zrozumiało to wobec żołnierza młodego i niewyćwiczonego zupełnie, miało jedną przynajmniej zaletę, że myliło szalenie wroga co do siły obsady. Reduty nasze o obsadzie z kilkunastu wróg szacował — sądząc z jego komunikatów — na setki, a przy celności strzałów czuł przed niemi wysoki respekt.

Celność ich strzałów początkowo nieznaczna mimo nie-spotykanej w całej chyba wojnie światowej bliskości frontów (miejscami kilkunastumetrowa zaledwie szerokość ulicy) stale się poprawiała przy takim „ćwiczeniu“. Wielu z nich doprowadzało ją wkrótce do prawdziwego mistrzostwa.

Wytrwałość i ochota bojowa ich nie ustępowała w niczem najbardziej zapalonym i najbardziej wytrwałym. Niczem dla nich było spędzenie w boju czy na placówkach kilkudziesięciu godzin bez snu, a nawet czasem jadała, nie odstraszała ich żadna pogoda, zawsze z ochotą i wesoło służbę swą pełnili. Rozkaz każdy skrupulatnie aż do przesady wykonywali.

W czasie mniejszej potyczki patrolowej wysłany młodzian na „flankowego obserwatora“ pozostał na stanowisku w cystem polu przez godzin prawie 40 i ciągle obserwował mimo, iż widział w oddali wracający własny oddział zwycięski, bo „nikt mu wracać nie kazał“.

Podczas rozejmu rozstawili Ukraińcy wzdłuż frontu swego gęste posterunki. Musieliśmy każdemu z nich przeciwstawić własny. U nich stał przez dwie godziny z trzykrotną zmianą, u nas była zmiana ośmio — a nawet dwunasto-godzinna. Jeden z tej ostatniej zapytany przez znajomego już z pierwszej zmiany przeciwnika, czy bez zmiany stoi dotychczas, zaczął sztydzić z porządków u Ukraińców, którzy z kwadransowem opóźnieniem nawet na warty wychodzą, podczas gdy on punktualnie o swej godzinie na swoją zmianę przed kwadransem przyszedł, a to na uzasadnienie „bo po co ma karaim wiedzieć, że nas tak mało, że się zmieniać nie możemy“.

Lekceważenie zdrowia i życia przekraczało wszelkie dozwolone granice. Czy spotykano gdziekolwiek przez ciąg całej wielkiej wojny wypadki ucieczki na front z troskliwej opieki szpitalnej ludzi niewyleczonych? U nas zdarzeń takich zanotowano mnóstwo z gołębią naiwnem, bezpretensjonalnem tłómaczeniem się.

Gdy jeden z młodych żołnierzyków po przestrzale płuc omylił po tygodniu czujność straży szpitalnej i wymknął się wprost do oddziału, podał jako powód „bo mi się nudziło“. Naturalnie siłą trzeba go było zmusić z powrotem do tych nudów i wydać nowe zarządzenie podwojenia straży szpitalnej mającej wstrzymywać od własnowolnego, a przedwczesnego ulatniania się niewyleczonych.

Nic ich odwieść nie potrafiło od wytrwałości, od skupienia całej swej myśli, całego swego jestestwa jedynie w kierunku największych wysiłków ku odparciu wrażego najazdu barbarzyństwa. Nawet mającą gorączka. I znowu mały przykład. Kazano raz zbadać lekarzowi całą placówkę z młodych przeważnie złożoną. Na trzydziestu kilku badanych dwudziestu znaleziono z temperaturą podwyższoną, dwunastu powyżej 39 stopni. Myliłby się, ktoby sądził, że wszyscy z nich dali się zabrać do szpitala. Nie, wobec sześciu tylko dało się użyć siły i ulokować ich w ładnym i ciepłym pokoiku szpitalnym. Jakież było zdumienie lekarza, gdy na drugi dzień rano znalazł tylko dwu, reszta znikła jak kamfora, a pojawiła się z powrotem na placówce.

Niefrasobliwa wesołość, zupełna beztroska panowała wyłącznie w ich szeregach. Głód ni chłód nie potrafił pozbawić ich humoru i dowcipu, nie pozwolił zamilknąć choćby na chwil parę rozśpiewanym ustom. Szeroko oczy i usta otwierał żołnierz ruski i tracił bardzo na nieobficie posiadanej odwadze, gdy mimo bliskości frontów, mimo strzelaniny, ba nawet w czasie jego ataków słyszał wesołą, najczęściej żołnierską pieśń polską. Nierzadko wtórowała jej muzyka, przyczem historyczna, lwowska harmonja ręczna należy wiodła prym.

Nie brak było i innych więcej „salonowych“ instrumentów. Każdy oddział i oddziałek znalazłszy się w marszu, lub w kilku na placówce rozbrzmiewał śpiewem. Żaden atak ni kontratak choćby najkrwawszy nie odbył się bez śpiewnego i muzycznego prologu i epilogu. Mógł mróz dokuczać czy ślota moczyć — śpiewu to nie powstrzymało. Gdy zaś wzmogła się ogólna radość i ochota z powodu zaczęcia wreszcie długo oczekiwanej ofensywy polskiej, śpiew był nieodłącznym towarzyszem wszystkich wypraw i ataków.

Gdy w śliczną, wiosenną noc księżycową grupowano ostatecznie wojska do pierwszej „resurekcji“ polskiej we Lwowie, wszystkie oddziały maszerowały przez miasto przy dźwiękach własnej pieśni i własnych muzycznych instrumentów. Śpiew zbudził spokojnych, a niczego nieprzeczuwających mieszkańców i przygotował ich na wkrótce rozszalały popis bojowy. A kiedy znowu po dwunastogodzinnym forsownym ataku przy deszczu i chłodzie wkraczały oddziały do zdobytego miasteczka, mimo rozszalałej burzy i strugowej ulewy, mimo przemoczenia i przemęczenia, zziębnięcia i głodu śpiew rozległ się daleko i szeroko. W czasie ponownych ataków ruskich, które odepchnęły linie polskie znowu w pobliże drogiego miasta, po skonstatowaniu nowych przygotowań do ataku zjawiała się tuż za frontem własna muzyka pułkowa. Jaka wściekłość ogarnąć musiała wroga, gdy równocześnie z jego szalonym przygotowaniem artylerzyckiem, które nie ustępowało huraganowym ogniom światowym, rozległ się po

nizinnych łąkach i polach ładny i wesoły rytm „Wojenki“. Cała artylerja nieprzyjacielska miała spełnić wprzód niszczycielskie swe zadanie na liniach piechoty, zwróciła automatycznie z wściekłością swe pociski w stronę głosów muzyki, która tym sposobem ulżyła piechocie własnej nadzwyczajnie, a sama strat nie poniosła poza nieznaczne dziurami w kilku instrumentach.

Przy takim materiale żołnierskim nie było tak ciężkiej sytuacji, nie było takich braków i niedostatków, któreby choć jedną czarną sprowadziły chwilę, któreby choć na chwilę jedną odbierały im ochotę do dalszej, wytrwałej, a skutecznej walki. W oddziałach takich nie zapanowało nigdy zmęczenie i znużenie. Kiedy po tygodniowym wytrzymaniu uporczywego naporu nieprzyjacielskiego w rowach wodą i śniegiem przepełnionych, po znacznych stratach własnych, po nieprzespaniu ni jednej nocy, a u większości może ni jednej przez cały czas godziny można było wyciągnąć najbardziej znużony oddział na kilkugodzinny odpoczynek w rezerwę, już po drodze rozległ się śpiew, wynoszący ostatnie bojowe czyny oddziału: „Nie straszna dla nas Persenkówka“.

Ilu poetów — takich z bożej łaski — znajdowało się w szeregach, niktby nie zliczył. Każdy oddział, każda kompanja miała pieśni własne, skrzętnie i z pietyzmem kultywowane, wychwalające w kilometrowej zwykle długości własne bojowe przeżycia, opiewające bohaterów poległych, lub „naciągające“ takich, którym niebardzo się powiodło w wykonaniu czy w dowodzeniu.

Tę też tchórzów w oddziałach lwowskich nie było, może z obawy przed takim uwiecznieniem. Panowała natomiast wszechwładnie brawura do szaleństwa częstokroć doprowadzająca, brawura godna stanąć w równym szeregu z chocimską, wiedeńską, czy somosiorską. Brawura ta dystansowała szalenie przeciwnika, odbierała mu wiarę w możliwość i skuteczność obrony lub zwycięstwa.

Przykładów możnaby tu dać mnóstwo. Jeden tylko przytoczę, gdy zaatakowano wzgórze z natury i techniką silnie umocnione, obsadzone gęsto żołnierzem, a karabinami maszynowymi wprost naszpikowane. Z dwu bataljonów, atakujących koncentrycznie to gniazdo nieprzyjacielskie nie znalazł się ni jeden żołnierz, któryby choć na chwilę przypadł do ziemi nie będąc rannym, od rozwinięcia się do ataku aż do zwycięskiego wyparcia wroga. Wspaniały to był widok, gdy 1.000 żołnierza w rozwiniętym szyku bojowym, miarowym, napoleońskim prawie krokiem przemierzało przestrzeń kilkusetmetrową. Nie spoczęli ni razu — o zachwianiu mowy nie było mimo szalonego ognia armatniego i karabinowego. Chyba tylko brawura ona była przyczyną znikomo małych strat własnych.

Nic dziwnego, że żołnierz ukraiński odczuł wkrótce paniczny wprost strach przed Lwowem, obawę powiększoną legendarnymi opowiadaniem, nic dziwnego, że wysyłany na front lwowski burzył się i buntował, odmawiał posłuszeństwa i własnych oficerów mordował, bo — jak twierdził powszechnie — z oddziałów pod Lwów wysyłanych ni jeden nie wracał żywy. Przesadne bezsprzecznie, ale charakterystyczne wierzenie.

Wszyscy z poniżej granicy wieku poborowego pragnęli dostać się na linię bojową bez względu na stanowisko i wolę ojców swych w tej sprawie, nie wszyscy jednak osiągnęli szczyt marzeń swoich. Tymi najmłodszymi bowiem i najsłabszymi obsadzano w pierwszej mierze miejsca i posterunki „tyłowe“ — etapowe. Nie zwiększało to ich osobistego bezpieczeństwa, bo cóżto za etap, gdy przez cały ciąg listopada kula karabinowa nieprzyjacielska wystrzelona na jednym froncie mogła razić śmiało front drugi od tyłu (zrozumiałe to przy elipsowatym wyglądzie jego) a czyniły to samo dalekonośne armaty aż do końca kwietnia. Nie narażano więc jedynie na ciężkie trudy bojowe w linii pierwszej zbyt młodych, lub nierozwiniętych organizmów, używano ich na posterunkach równie koniecznych, a zwalniano w ten sposób dla właściwego boju starszych.

Więc najpierw w równej, a może większej mierze od frontowej niebezpieczna służba łączności, jak ordynansów, gońców bojowych, telefoniczna itp. Niezastąpieni byli w tej służbie „malcy“ oni. Każdy rozkaz na piśmie, czy ustny donieśli w nakazane miejsce, choćby tam „kule słońce przysłaniały“, a donieśli tak szybko i sprawnie, jakby tego nikt inny uczynić nie potrafił.

Czyż nie godzien stanąć na wysokim piedestale bohater-skim on chłopczyk dwunasto zaledwie letni, który wysłany z rozkazem biegł ciągle wytrwale, choć dwie już wraże kule próbowały twardości ciała jego. Gdy trzecia okrutniejsza zgruchotała mu nogę, na rączkach powłókł się dalej i dotarł z rozkazem na miejsce przeznaczenia.

Im zostawiano pieczę nad uzupełnianiem amunicji w linii tyralierskiej i choć często nie mogli unieść pełnych skrzynek, nie narzekała tyraliera na chwilowy bodaj brak naboju. Nosili je w chlebakach, workach i kieszeniach, ale zawsze donieśli bez względu na czas i sytuację bojową. Ci walczyli bez karabinów, ale równie dzielnie i równie dumnie zadanie swe spełniali. Gdy zaś przydzielono którego z nich do „maszynek“, żaden Napoleon nie mógłby się z nim mierzyć.

Widziano raz czterech malców takich, srodze się trudzących nad niesieniem jednej skrzynki z amunicją. Żaden z nich nie myślał o ukryciu, o zabezpieczeniu się, choć znany świst przerywał często powietrze w tem miejscu. Wyłącznie pracą swą zajęci, najczęściej sunąc po trawniku skrzynię, dotarli na

30 jakich kroków do linii. Z ogromnem oburzeniem zmierzili wzrokiem dwu dorosłych, którzy im pomoc chcieli i skrzynię ponieść dalej i ze złością odparli: „Ta bierz obywatel lepiej karabin, kiedy widzisz, że tam tak ciężko. My tu sami rady damy“. I dali radę. Otworzyli nakoniec skrzynię, napełnili kieszenie i migiem rozlecieli się wzdłuż linii, dzieląc i rozdając potrzebującym amunicję. Snadź szczęście dzielnym sprzyjało, bo wszyscy wyszli cało mimo szalonego „kul gradu“.

Nieocenione usługi oddawali nam ci najmłodszy gońcy bojowi w przedzieraniu się i przenoszeniu rozkazów, meldunków, czy wiadomości przez linię bojową. Szczególnie w pierwszych dniach walki, gdy każdy rozkaz przez linię bojową przechodzić musiał. Zorganizowani znakomicie przez i pod wodzą skautów lwowskich pełnili swą ciężką i odpowiedzialną służbę wytrwale i skutecznie. Dzielą tu swe zasługi z niewiastą polską, młodą i starszą, choć finezją, sprytem i szybkością zmylania czujności straży ukraińskich prym chyba przed nimi wiodą.

Zdeprawowany w wojnie światowej żołnierz starszy nie nadzwyczajnie pełnił służbę wartowniczą. Ci jednak młodzi, użyci do niej obficie sprawowali ją bez zarzutu, z nadzwyczajną skrupulatnością i sumiennością. Nie dopuścili, ani nie przepuścili nikogo, nie złamali ni razu przepisów wartowniczych. Mogła to być matka rodzona, czy znany mu oficer i dowódca, musiał postępować w myśl przepisów. Nie zszedł też z posterunku, gdy nie przyszedł poń ten, kto go nań zaprowadził. Klasyczne były korowody z jednym wystawionym na posterunek, gdy rozprawdzający został ciężko ranny. Ani rusz nie chciał się dać nakłonić do zejścia. Lub choćby taki wymowny przykład wytrwałości, gdy zapomniany (w początkach to walk było) przetrwał trzydzieści kilka godzin na posterunku przy magazynie bez jada i spoczynku. I w tej służbie zastąpiły ich później niewiasty polskie i spisywały się równie dobrze i równie dzielnie.

Wyłącznie w ich rękach spoczywała służba ordynansów oficerskich, kancelaryjnych i koszarowych, pomocników kuchennych t. zw. „wojsko kartoflane“ od częstego obracania ich w rękach, pomocników warsztatowych itd. Wszystkie spełniali znakomicie i przy wszystkich dokładali własną, cenną cegiełkę do wspólnej obrony grodu polskiego przed najazdem, jakiego nie zaznał w całych dziejach swoich. Gdziekolwiek bowiem zajęci, pozwalali zwolnić mniejszą może od nich liczbę „starszych“ do koniecznej ciągłej czynności czysto bojowej.

Sumę wysiłku ich i bohaterstwa sienkiewiczowskie może pióro wyśpiewa. Moc epizodów pamięci godnych przykryje fala niepamięci. Dzieło wspólnego wysiłku woli i ducha narodowego świecić będzie jasnym płomieniem w dziejach naszych

i wiecznie dokumentować, że gród, który takie „dzieci“ wydał, który wzniósł się w swych najmłodszych na taką niedościgalną wyżynę bohaterstwa, musi wiecznie należeć do wspólnej naszej Macierzy. Inaczej z kości wielu poległych i z krwi przeobficie przelanej powstałby powtórnie ten sam duch i musiałby — jak pierwszym razem — wolę swą przepchać i zwyciężyć.

Czesław Mączyński.



prawdziwie niezwykłym nastroju podejmowano we Lwowie z powrotem naukę szkolną z końcem kwietnia 1919 po sześciomiesięcznej przerwie wywołanej oblężeniem miasta.

Nie zamikło jeszcze echo syku granatów, w uszach brzmiał jeszcze huk pocisków, rzucanych na miasto, czuło się w ustach posmak z eksplodujących kul gazowych, swąd zgłiszcz tlejących i spaleniźny, nie zastygła jeszcze krew ofiar szrapneli na ścianach kamienic i bruku ulic. Pogruchotane dachy, wyrwy w murach, rumowiska dawały obraz przebitego piekła. Ponure robiły wrażenie budynki szkolne, które w mniejszym lub większym stopniu uległy zniszczeniu.

Radość jednak, że wreszcie Lwów jest wolny, polski z państwowej przynależności, jak był polskim i pozostał z uczucia, ofiar i kultury — rwała do pracy, do wysiłków, aby możliwie najrychlej i to właśnie w dziedzinie wychowania zacierać ślady fatalnych skutków, wywołanych kilkumiesięcznem oblężeniem.

Z naciskiem jednak podnieść tu muszę, że i w ciągu oblężenia mimo niesłychanie groźne warunki w tym okresie — mimo gwałtownego, bezmyślnego ostrzeliwania miasta, braku wody, bo zniszczono urządzenia wodociągowe w Dobrostanach, światła, bo spalono zakłady elektryczne na Persenkówce, mimo głodu i chłodu, bo odcięto Lwów od zachodu, niektóre szkoły, z przerwami wprawdzie, ale funkcjonowały. Wierne swemu przeznaczeniu usiłowały wytrwać do końca na swym ideowym posterunku. A jeśli bez ofiar się obeszło, które w danych warunkach przybrałyby katastrofalne wymiary, naprawdę cudowi chyba to zawdzięczać należy.

Wróciła więc do szkół dziatwa, stęskniona nauki, towarzysztwa, swobody i światła. Wychodziła z mroków piwnicznych, gdzie tygodniami szukała schronienia, więdnąc i marniejąc. Wracała inna: poważniejsza, przedwcześnie stroskana i zamyślona.

Jeszcze lęk ostał się w jej oczach, zaciśnięte bolem usta nie rozwarły się do pełnego śmiechu, jeszcze przed oczyma mąjały straszne sceny ostatnich tygodni, nie znikło zupełnie

oszałamiające odrętwienie. — Nieraz bowiem o śmierć się ocierała, nieraz o śmierci myślała a nawet do niej się gotowała.

Wracała do szkół chętnie, by w tych samych budynkach, które były jeszcze wczoraj redutami dla żołnierza polskiego, (szkoła im H. Sienkiewicza), przyjmować siew wiedzy, kształtować umysł i duszę, tworzyć charakter.

Wracał do szkoły i ten mały żołnierz, często ledwie 10-cio letni, co świadczył w czasie oblężenia, a szczególnie w dniach listopadowych cenne pomocnicze usługi wojskowe, a niejednokrotnie i z karabinem skutecznie się porał.

Więc, gdy wspomnienie wypadków wczorajszych, było tak silne, bo jeszcze świeże i nowemi nie osłabione wrażeniami, chciałem uchwycić na papier te przejścia i bole dziecka polskiego, utrwalić myśli i uczucia, które w duszy jego i mózgu kielkowały, rodziły, wybuchały, aby je przekazać w upomniku polskiemu rówieśnikom lwowskiej dziatwy, boć niezawodnie interesować ich będą i powinny, te niezwykle przeżycia polskiego dziecka kresowego. — A może i nie bez wpływu korzystnego ta lektura pozostanie! Wiele z niej bowiem można czerpać przykładu, zachęty, szlachetnej podniety, wiele nauki.

Nadto uważam, że stanowić te kartki będą niepośledni dokument pedagogicznej i historycznej wartości.

Warto przecież zobaczyć dziecko w zwierciadle jego własnych wynurzeń, przestudjować te przeróżne przejawy życia jego wewnętrznego tak inne, nowe, jak inne, wyjątkowo różne były warunki w tej ciężkiej dobie jego życia. Warto także zanotować stanowisko dziecka wobec momentu dziejowego, który ono współprzeżywało, zapoznać się z jego opinią, sądem. Było ono bowiem świadkiem wypadków przełomowych, wiele myślało, więcej bolało. Nie raz jeden stawiało sobie i otoczeniu ważne, głęboko w życie, w etykę sięgające pytania. Nieraz moliło się nad rozwiązaniem zagadnień, które wokół niego powstawały, zdarzeń, których ono mimowiednie ośrodkiem, a zawsze ofiarą było.

Więc brało ono żywy, osobisty udział w tej ciężkiej chwili niezupełnie bierny. Więcej! Było ono częstokroć bezpośrednim, czynnym uczestnikiem ówczesnych wydarzeń. Tworzyło wspólnie z brygadjerem prof. Czesławem Mączyńskim, w dniach listopadowych wodzem garści obrońców Lwowa, chlubne dzieje obrony miasta.

Serdeczne też świadectwo wystawia bryg. Mączyński dziecku lwowskiemu. Widział je w rozlicznych okazjach, obserwował jego zapał, podziwiał nieznużone ponad wiek i siły trudy, cenił użyteczną ruchliwość, nieświadomą grozy niebezpieczeństwa uczynność.

Nieraz miał ojcowskie z niem kłopoty, musiał hamować, czuwać nad niem, a często przymusowo do domu odsyłać.

W tej walce o każdy próg domu, podwórze, parkan, plac, uliczkę itd. w tej lwowskiej gierylasówce ma więc i dziecko lwowskie poczesne miejsce. Także i ilościowo. Tu — dla ilustracji podam, że n. p. z jednej tylko wydz. szkoły kolejowej na 300 uczniów 30-tu współuczestniczyło czynnie w ówczesnych wypadkach.

Poważny więc odsetek!

Wdzięczny też jestem bryg. Mączyńskiemu, że zrozumiał moje intencje i z miłą gotowością kilka słów wstępu do kajetu skreślił.

Nie o studjum psychologiczne na razie mi chodzi, choć materiał jest obfity i piękny.

Usuwać się więc na ubocze.

Dziecko mówi, spowiada się, wywnętrza, wynurza, skarży się, płacze, rzadko się raduje — częściej smuci, oczekuje i tęskni, słowem odkrywa swoją duszę, swoje całe ja, bez obsłonek, ukrywania i przemilczania. A podaje to w formie, na jaką je stać, w sposób, w jaki umie, więc prosty, naiwny, szczerzy.

Zachowuję tę swoistość dziecinnej myśli, tę bezpośredniość relacji. Ona bowiem oddaje prawdziwą fizjognomję duszy dziecka.

I myślę, że dobrze robię.

Działwa dwu szkół: męskiej wydz. im. ks. Kordeckiego i żeńskiej im. Elżbiety dzieli się z nami swojemi wspomnieniami na temat przeżyć z czasów oblężenia.

Czyni to w formie zwykłych ćwiczeń szkolnych, bez uprzedniego przygotowania, bez pomocy z zewnątrz, samodzielnie, oryginalnie.

Ingerencja nauczycieli ograniczała się tylko do podania jednolitych niezbędnych dyspozycji, a to celem skoncentrowania uwagi dziecka na kilku punktach. Temat zastosowany do rozwoju umysłowego dziecka. O celu elaboratów wogóle nie wdziano.

Wyznać muszę, że następnie przy wyborze ich byłem w wielkim kłopotcie. Każde bowiem pensum było mniej lub więcej interesujące, każde dawało coś z autora (ki).

A jednak wszystkie drukować było niepodobieństwem. — Znalesz zaś miarę, wyszukiwać kryterjum i oznaczyć, które bardziej formą i treścią nadaje się do mego celu — również niemożliwe.

Wybrałem więc po 2—3 zadania z każdego oddziału i klasy takie mianowicie, które wedle mego widzenia najbardziej były osobiste.

Choć ręczyć za trafność mego sądu nie mogę.

Kończąc jedno muszę jeszcze zaznaczyć, ale to już uwaga ogólnej natury. Uderzy niewątpliwie każdego przy czytaniu Kajetu nastrój narodowy, głębokie uczucie patriotyczne, sięgające daleko poza ukochany Lwów — bo obejmujące cały ob-

szar Polski — wybitnie rysujący się idealizm, altruizm, szlachetne współcierpienie.

Czyż nie mamy prawa widzieć w tych objawach świadectwa, które dziecko wystawia swojej szkole. Sądzę, że ono po myślnie wypadło.

Dotychczasowa szkoła mimo nieprzyjaznych wpływów narzucanych jej z Wiednia, mimo poważne braki i niedomagania nie zawiadła pod względem narodowym, polskie ideały pielęgnowała troskliwie, czule i serdecznie. Spuścizny historycznej strzegła wiernie i czujnie. Pożostała w istocie swojej nieskażona. Z świadomością narodową niby z busolą szła drogą pewną choć ciężką do celu, który jej trwale przyświecał.

I jej to zawdzięczać należy, i to w poważnej mierze, że mimo skrępowania swego wydała przecież dzielne młode pokolenia, całopalnie nieraz poświęcające się dla sprawy, że wydała polskie „orlęta“.

Dziś zaś, kiedy już pęta niewoli zerwane, możemy śmiało żywić wiarę, że w szkole polskiej, z ducha i celu wybudowanej na pniu niekłamanej już więcej tradycji naszej, a równocześnie myśli przewodniej o służbie dla swego narodu, dla swego państwa, z orląt porywanych uniesieniem i entuzjazmem czynu, gotowych każdej chwili na śmierć za ojczyznę, wyrosną karni obywatele, umiejętni budowniczkowie, którzy i żyć będą umieli dla ojczyzny. A gdy wreszcie węgly naszego domostwa staną pewne i zabezpieczone, szarym codziennym trudem i znojnym potem zakładać będą wprawną ręką podwaliny trwałej pomyślności Ojczyzny.

SZKOŁA POWSZECHNA 8-° KLASOWA ZEŃSKA IM. ELŻBIETY WE LWOWIE ¹⁾.

KLASA II.

W czasie ostrzeliwania Lwowa siedziałam w domu w ką-
ciku, bo nie miałam dobrej piwnicy na schronienie się przed
ukraińskimi kulami. Nie bardzo się bałam, bo mamusia uspo-
kajała mię, że jest Pan Bóg nad nami, który nas ochroni od
wszystkiego złego. Wówczas myślałam o tem, ażeby nas Pan
Bóg wszystkich ochronił od pocisków nieprzyjacielskich. Życzy-
łam sobie zawsze, żeby Pan Bóg dopomagał naszemu wojsku
jak najrychlej zwyciężyć. Dnie najcięższe były we środę Popiel-
cową, w czasie zamknięcia naszego ukochanego grodu i w dzień
Wielkanocy.

Jadwiga J. lat 10,
córka kowala.

KLASA II.

W czasie ostrzeliwania Lwowa byliśmy przygotowani cią-
gle, że lada chwilę a wpadnie granat lub szrapnel do naszego
pomieszkania i pozabija nas wszystkich.

Strasznie bałam się, przeto przeważnie siedziałam z ro-
dzeństwem w piwnicy. Myślałam, że jeżeli mię kula zabije lub
zrani, to życie oddam, jak ci na polu, za Ojczyznę! Pragnęłam
tylko przed śmiercią zobaczyć jeszcze swoją mamę. Z chwilą
gdy Ukraińcy opuszczali Sichów t. j. 1 maja i w czasie eks-
plozji magazynu z amunicją i wysadzenia elektrowni dnie były
najprzykrzejsze.

Helena Ch. lat 10,
córka woźnego.

¹⁾ Umieszczone niżej pensa uczennic i uczniów mają datę z maja 1919 r.
Brak też jest wypracowań dzieci z I klasy. Niestety, te jeszcze w maju z po-
wodu kilkumiesięcznej przerwy w nauce pisać nie umiały.

KLASA II.

W czasie ostrzeliwania Lwowa nie chodziłam do szkoły, tylko pomagałam babci w gospodarstwie i czytałam powiastki. Bardzo bałam się strzałów. Myślałam o swoich rodzicach i rodzeństwie na wsi, czy żyją i czy są zdrowi. Myślałam też o tych żołnierzach, którzy giną w boju i modliłam się za nich. Życzyłam sobie, ażeby jak najprędzej skończyła się wojna, żeby przyszli Polacy i żebym mogła dostać się do domu. Te dni były bardzo ciężkie, gdy strzelano z armat na Lwów, gdy nie było żadnej żywności i gdy był wybuch amunicji dnia 5 marca.

Jadwiga O. lat 9,
córka nauczyciela.

KLASA III.

Kiedy Ukraińcy ostrzeliwali Lwów, to siedziałam w piwnicy przez całą noc. Gdy do drugiej kamienicy wpadło trzy granaty, to nastraszyłam się huk. Myślałam, że granat wpadnie do nas. Chciałam, żeby nie strzelali. Najcięższe dni były, kiedy był wybuch na dworcu w stronę popielcową i na św. Wielkanocy, a jak się wyszło na balkon, to było widać rozpryskujące się szrapnele i było czuć dym. *Jadwiga T.*, lat 9,

córka profesora gimnazjalnego.

KLASA III.

W czasie ostrzeliwania Lwowa siedziałam prawie ciągle w domu, czasem, gdy mniej ostrzeliwali, chodziłam po wodę i po świece, bo wodociągi i elektrykę zepsuły kule, a było niebezpiecznie, chowałam się do piwnicy. Bałam się wtedy bardzo i ze strachu płakałam i tuliłam się do mamy. Myślałam wówczas, że w każdej chwili może do domu wpaść kula i zabić kogoś. Pragnęłam wtedy, żeby te walki prędko się skończyły, żeby Polacy zwyciężyli i żebym już mogła chodzić do szkoły. Bardzo ciężkie były następujące dni: 28 grudnia, gdy pociski zepsuły elektrownię i elektryka zgasła w całym mieście; noc sylwestrowa, kiedy silnie ostrzeliwano miasto; środa popielcowa kiedy ukraińcy, tak, podczas wybuchu amunicji na dworcu bombardowali Lwów; noc przed niedzielą Wielkanocną, kiedy Ukraińcy tak gwałtownie ostrzeliwali Lwów, że wszyscy ludzie schronili się do piwnic a bardzo wiele domów zburzyły granaty.

Wiele ludzi zabiło, a koło nas pocisk zawałił prawie pół domu.

Jadwiga B.

9 lat, córka budnika kolejowego.

KLASA III.

W czasie ostrzeliwania Lwowa przez Ukraińców nie wychodziłam prawie na ulicę, bo się bałam strzałów. W nocy też nie mogłam spać, bo niespokojną byłam o swego brata, który służy przy wojsku. Modliłam się gorąco i prosiłam Pana Boga, żeby dopomógł Polakom i zachował od kul nieprzyjacielskich. Czasami jednak wątpiłam, czy ta garstka dzielnych bohaterów oswobodzi kiedy nasze miasto. Myślałam nieraz, że Ukraińcy tu wrócą i zostaną na zawsze. Lecz dobry Bóg pomógł Polakom i wyparł wroga daleko. Podczas wybuchu amunicji granat uderzył na naszą ulicę św. Mikołaja i zabił dwie panienki, wtedy to był taki straszny huk, że myślałam, że to będzie koniec świata. Ale Bogu dzięki, że już nie ostrzeliwują miasta, i zwycięstwo przechyliła się na naszą stronę. *Franciszka B.*

lat 10, córka woźnego.

KLASA IV.

Przez cały czas ostrzeliwania Lwowa we wielkiej przebywałam rozpacz. Strasznie tęskniłam za ojcem. Gdy przechodziłam ulicą cała drżałam z bojaźni. Z bólem serca przysłuchiwałam się rozmowom znajomych, którzy opowiadali straszne nieszczęścia, dziejące się podówczas. Co rana śpieszyłam do kościoła, gdzie prosiłam P. Boga o spokój. Przez dzień pomagałam mamie, uczyłam się dziejów ojczystych i śpiewałam pieśni nabożne. W nocy nie dały mi spać głosy dział. Bałam się okropnie. Nieraz niemal przez całą noc płakałam z bojaźni. Przemysliwałam nad losem tatka, krewnych, pań nauczycielek i koleżanek. Myślałam, że już nigdy nie będzie końca tego nieszczęścia. Życzyłam sobie, by od kul nie zginęło dużo ludzi, by Bóg raczył przy szczęściu zachować moją mamę, całą rodzinę, panie nauczycielki i koleżanki. Chciałam, by się to jak najprędzej skończyło. Najcięższe dni były marcowe, bo oblężenie coraz gorszem się stawało i nie dopuszczano żywności.

Zofja W. lat 11.

córka robotnika w cegielni.

KLASA IV.

Gdy Ukraińcy weszli do Lwowa zaczęli ostrzeliwywać dworzec kolejowy. W niedzielę t. j. 3-go listopada odbili nasi dworzec z rąk Ukraińców, oni podpalili magazyny z żywnością, a bracia i tatuś wraz z innymi poszli ratować i gasić szerzący się ogień. Potem Ukraińcy posunęli się do miasta. Gdy usuwali się z pod Lwowa, podpalali budynki. W kilka dni po usunięciu się Ukraińców było bardzo przyjemnie. Potem znowu zapewne przyszły im posiłki, bo zaczęli strzelać na miasto i na dworzec granatami i szrapnelami. I tak ciągle mówiono: to nasi strzelają, a to oni. W czasie ostrzeliwania miasta musieliśmy siedzieć w piwnicy, bo na nasz dom ciągle padały granaty. Nawet do naszego pomieszkania wpadł granat 15 cm i na strych nasz padło kilka granatów. Dnia 5-go marca koło domu, w którym mieszkaliśmy nastąpił wybuch amunicji. Bałam się bardzo, ale modliliśmy się i mieliśmy w Bogu nadzieję, że nam da wytrwać i doczekać pogodnych i spokojnych chwil. Myślałam tylko o tem, by jak najprędzej wojna się skończyła i nastał pokój. Życzenie moje było, by Bóg dopomógł Naszym, dał im siłę, ochotę i męstwo. Bardzo ciężkie dni były: środa popielcowa i święta Wielkanocne.

*Irena G., lat 10,
cóрка urzędnika kolei.*

KLASA V.

Ciężkie chwile przebył Lwów w tym roku. — W listopadzie roku zeszłego zajęli Ukraińcy podstępnie nasze miasto. Wojska polskie wyparły ich z miasta. Oni zaś okopali się silnie w okolicy Lwowa i przez kilka miesięcy ostrzeliwali Lwów. Ludność była bardzo przestraszona; każdej chwili narażony był człowiek na utratę życia, ponieważ Ukraińcy wciąż strzelali. Mnóstwo ludzi zginęło na ulicy od granatów. — Odłamki granatów odrywały ludziom ręce i nogi. Myślałam sobie — co to za straszni ludzie ci Ukraińcy, strzelają do kobiet i małych dzieci i cieszą się nieszczęściem drugich. Gdy granaty popsuły rury wodociągowe, przez dłuższy czas nie było wody i trzeba było stać godzinami przy studni. W środę popielcową ostrzeliwali dworzec i trafili w skład amunicji. Nastąpił straszny wybuch. Potem przez kilka tygodni była linja przzerwana i nie można było nigdzie pojechać. Więc oczekiwałam tego upragnionego

spokoju i końca. Przez ten czas nie było wcale nauki i tem bardzo się smuciłam.

Ale dzielni Polacy nie pozwolili długo ostrzeliwać Lwowa, bo odpędzili Ukraińców daleko za Lwów. Cześć dzielnym Polakom! Teraz już nie padają ukraińskie granaty na nasze miasto.

Marja D., lat 12,

córka szewca.

KLASA V.

Ja przeżyłam w tym czasie bardzo dużo, ponieważ do nas wleciał granat w pamiętną środę popielcową, był on wielkiego kalibru i gdyby nie to, że eksplodował w bardzo grubym murze, bylibyśmy wszyscy zabici. Powietrze było tak silne, że wyrzuciło z pokoju dwóch moich braci a szafa stojąca tam odskoczyła, wszystkie meble zostały zgruchotane z wyjątkiem obrazu Matki Boskiej, bracia moi choć byli przesypiani gruzem mieli tylko guzy na głowach i bardzo się poprzestraszali, ciocia siedziała w drugim pokoju, to została odepchnięta ze stołem, ja na szczęście wyszłam do kuchni i tylko słyszałam straszny huk i brzęk szyb, które wypadły aż na trzecie piętro. Odłamków było coś ośm, a największy był jak pół głowy cukru. W czasie tego nieszczęścia myślałam, że to było cudowne ocalenie, bo gdyby granat eksplodował w pokoju, byłoby nas pogruchotało i myślałam, że ta strzelanina nigdy się nie skończy. Zdarzenie to zostanie mi na całe życie pamiętnem.

Jadwiga B. lat 12,

sierota, córka krawca.

KLASA V.

W czasie ostrzeliwania miasta chodziłam kilka razy na dzień po wodę z saneczkami. Raz jechałam po wodę, kule świszczą i wyją, a w domu niema ani trochę wody, już uszłam kawałek drogi, gdzie niema żadnych bram, w tem kula mi świsnęła koło ucha i upadła koło mnie. W popielcową środę, gdy był wybuch amunicji siedzieliśmy w korytarzu, a ja myślałam, że Lwów rozsypie się w gruzy i modliłam się, żeby Bóg dał zwycięstwo naszym a mamcia wyszła za bramę, czy świszczą kule, w tem słyszy mama świst i okropny huk, jęk i krzyk i wołanie „ratuj“, mama się okropnie przestraszyła, za-

raz przyszła ratować straż obywatelska, później widzieliśmy, jak nieśli na noszach raną kobietę i mężczyznę, na drugi dzień widzieliśmy dwie siostry poszarpane na kawałki, a matka ich zbierała do pudełka włosy, mózg i kawałki ciała. Były to dwie siostry rusinki, więcej podczas ostrzeliwania nie zdarzyło się nic ważniejszego.

Kazimiera F. lat 13,
córka elektromontera.

KLASA VI.

Dzień 1 listopada 1918 r., był dniem bardzo smutnym, gdyż w tym dniu austriacy podstępem oddali polski Lwów Ukraińcom. Jeździli oni po ulicach automobilami i strzelali albo do ludzi albo do trotuarów. Od tego czasu zaczęły się walki uliczne. Do nas do kamienicy przyszła rewizja. Ośm kul karabinowych wpadło do naszego mieszkania. Spałyśmy albo w przedpokoju albo u sąsiadki. Pewnego dnia przychodzimy do okna i widzimy z radością, że bohaterzy polscy odbili już Lwów. Zaraz wynoszono im herbacianą. Jednego rannego miałyśmy na śniadaniu w domu. Był to pamiętny dzień 22 listopada. Po tem nastąpiły dnie zgrozy dla biednego Lwowa, gdyż ukraińcy walili granatami na miasto. Co wieczora z Persenkówki padały granaty na dzielnicę stryjską. Raz wpadł do naszej kamienicy granat i zerwał cały dach i nam wszystkie szyby wyleciały. Podczas wybuchu amunicji na dworcu czerniowieckim myślałyśmy, że to z aeroplanu strzelają. W pierwszy dzień świąt Wielkanocnych była wielka strzelanina. Potem dowiedziałyśmy się że Polakom powiodło się i wyrzucili dzicz hajdamacką z okolic Lwowa. Do tego przyczynił się najwięcej dzielny gen. Iwaszkiewicz i wojsko poznańskie, które obroniło nas w najcięższych czasach! Gdy gen. Iwaszkiewicz przyjechał do Lwowa, pierwszym jego okrzykiem było: „Cześć polskim kobietom i dzieciom, które Lwów wyzwoliły“.

Czesława Sk. lat 13,
córka kupca.

KLASA VII.

Chwile, przeżyte w czasie ostrzeliwania miasta, nie zatrać się nigdy w mojej pamięci. Będąc w domu, lub na ulicy nikt nie był pewny swego życia. Nad głowami naszymi ciągle prze-

latywały zabójcze granaty; nagle powstał huk i granaty wpadały do kościołów, domów, zabijając ludzi i niszcząc pracę ludzką. Jednego dnia wpadł do nas granat, do pomieszczenia szewca, poniszczył meble i zabił dwa śpiewające kanarki. W czasie niniejszego ostrzeliwania schodziłam na parter do bezpiecznego korytarzyka; tu myślałam, a zarazem modliłam się za tych, których granat zabił. Najstraszniejszym dniem, który można nazwać dniem trwogi, był 5 marca, gdy Ukraińcy rzucili granat na dworzec Czerniowiecki, gdzie był skład amunicji. Amunicja zaczęła wybuchać z wielkim hukiem, robiąc wielkie szkody. Wtenczas myślałam, że się zbliża koniec świata, z wielką trwogą przygotowałam się na śmierć i czekałam chwili, kiedy zginę, lecz byłoby chlubnie zginąć za Ojczyznę! Prosiłam Boga, żeby skrócił nasze cierpienia, żeby już nie słyszeć o tych zabójczych wypadkach, nie widzieć krwawych łun, płonących wiosek polskich, pozbawiających mienia wieśniaków, którzy zostali bez dachu nad głową i kawałka chleba. Pracowali cicho, bez skargi, na ziemi ojczystej i zagonie ojców. Smutna to dola Polaków, lecz my jesteśmy przez Boga wybrani dla cierpień. Drugim dniem trwogi była sobota Wielkanocna. Całą noc modliłam się i chodziłam z kąta do kąta, szukając bezpiecznego schronienia. Smutno było; nie dość, że w każdej rodzinie kogoś brakowało jeszcze musiało się obawiać o krewnych i braci na froncie. Z ust moich płynęła cicha skarga i prosiłam Boga o Jego zmiłowanie. „Bóg nie rychliwy, lecz sprawiedliwy“, wysłuchał naszego wołania z tego łez padołu i dał Polakom zwycięstwo, pomnąc na ofiary teraźniejsze, sybirskie i pruskie. Za to zwycięstwo gorąco dziękujemy Panu Bogu i wyrażamy cześć i wdzięczność dla Braci Obrońców. *Stanisława A.* lat 15,

wychowanka miejsk. Zakładu sierót.

KLASA VII.

Ja mieszkam w Sichowie, Sichów został dnia 27/XII 1918 zajęty przez wojska ukraińskie; pamiętny to dzień dla mnie; widziałam szeregi wojsk, które zajęły Sichów i posuwały się dalej w kierunku Lwowa. W kilka dni później nadeszły baterje i wtedy zaczęło się istne piekło; dniem i nocą nie przestawano sypać pocisków, a huk armat i świst kul, które się z polskiej

strony sypały, nie pozwalał nam spać. Co chwila spodziewaliśmy się, że kula armatnia rozbije nam dom, tem bardziej, że mieszkaliśmy niedaleko placówki. Prawie codziennie podjeżdżała pancierka ukraińska, która codziennie wystrzelała mniej więcej 50 kul, u nas szyby się trzęsły, a co dopiero we Lwowie, gdzie prawie każda kula trafiała, pociągając za sobą ofiary i czyniąc straszne spustoszenie. Najgorzej było w nocy; widzieliśmy bardzo często lunę palącej się wsi, błyskawice wylatujących kul armatnich. Na dobitkę nieszczęścia coraz to nowe dostawialiśmy wieści a mianowicie: „Lwów niema wody! nie ma światła! kolejowa droga zamknięta! głód we Lwowie!“ i inne. Najgorzej było, gdy eksplozja amunicji była we Lwowie; byliśmy pewni, że Lwów się podda, ale Pan Bóg nie dopuścił do tego. Wielki tydzień był dla nas strasznym, kule się sypały tak gęsto, że nie wiedzieliśmy, gdzie się mamy schować, a codziennie w nocy były potyczki obu wojsk. Najstraszniejsza była noc Wielkanocna; polskie pociski padały koło naszego domu, ruch uczynił się w wojsku ukraińskim — zaczęli się przygotowywać do ucieczki, a kule były i były; wreszcie straszny huk się rozległ, wszystkie okna w domu wypadły z ram, obrazy spadły ze ścian, wazonki i inne rzeczy padały z trzaskiem na podłogę, przez okno zaczęły się sypać kawałki żelaza i ziemi; wtedy nie wiedzieliśmy, co mamy robić; z domu głowy nie mogliśmy wychylić, bo zewsząd leciały kulki karabinowe, zrezygnowaliśmy i zaczęliśmy się modlić. Niedługo potem usłyszeliśmy krzyk „hurra!“ i nasze wojska zajmowały powoli Sichów. Wielka radość była dla nas, gdy nasze wojska wkroczyły. Całkiem inny duch w nas wstąpił, widzieliśmy wojsko całkiem odmienne od Ukraińców. Cośmy przez czas inwazji ucierpieli, to się nie da opisać, a co dopiero musiał Lwów uciepieć, ze wszystkich stron ostrzeliwany.

Kornela Z. lat 15,
córka kierownika cegielni.

KLASA VIII.

Czas inwazji ukraińskiej i ostrzeliwania bogaty był w wypadki i wydarzenia. Straszne, tragiczne, to były czasy. Najsmutniejsze jednak było to, że cierpimy od narodu, z którym wieki żyliśmy razem. Każdy dzień przynosił coś nowego — nowe

nieszczęścia — smutki. Dzień w dzień rozchodziłyśmy się z domu z myślą, że może się już nie zobaczymy. Mamcia i siostra do biura, ja do szkoły lub miasta. Straszna trwoga przepełniała mi serce o te najbliższe — najdroższe istoty. Mamcia znowu drżała z niepokoju o nas. Straszne dramaty rozgrywały się po ulicach. Niewinni cierpieli. Wśród tego niepokoju tworzyłam się zawsze o to „czy nasi mają amunicję — żywność — czy nadchodzą posiłki“. Najstraszliwszą jednak chwilą dla mnie był dzień 10/IV 1918, gdy gość niepożądany w postaci szrapnela, wpadł do mieszkania. Ja byłam w domu sama. Huku tego nigdy nie zapomnę. Dotąd go mam w uszach. Gdy weszłam po chwili, smutny widok przedstawił się moim oczom. Wszystko przysypane gruzem, wszystko w strzępach. Z iście ukraińską wściekłością zniszczył wszystkie rzeczy. W teraźniejszych czasach strata ogromna. Jednak i w nieszczęściu bywa szczęście. Dobrze, że się skończyło na zniszczeniu rzeczy, a nie było ofiary w ludziach. Od tej chwili bałam się strasznie. Łada głośniejsze uderzenie, huk, zmykałam w tej chwili do piwnicy, czego przedtem nie robiłam. Zdawało mi się, że te straszne chwile nigdy się nie skończą. Chwilami traciłam nadzieję, lecz zaraz opanowywałam się i dodawałam sobie otuchy myśląc, że nad nami jest Bóg i Matka Najświętsza, która widzi te nasze udęczenia. Przebywałam tu inwazję rosyjską i przed wkroczeniem wroga także trwożyłam się, lecz o ileż tamci — choćby i kozacy — byli kulturalniejsi — lepsi. Ukraińców niema z kim porównać, chyba z dziczą tatarską, bo naród, który ma choć trochę wyższą cywilizację, niepostępuje w ten sposób. Ja pomimo tych okrucieństw nie chciałabym, ażeby Polacy w ten sam — okrutny sposób odpłacali się wrogom, bo myślę, że Pan Bóg litościwy karę im sam wymierzy. Teraz dopiero odetchnęliśmy. Żołnierze nasi, zwłaszcza Wielkopolanie, wybawili nas. Mam nadzieję, że teraz przy pomocy Królowej Korony Polskiej i męstwie naszych braci nie dożyjemy drugiej takiej chwili i gród nasz polski nie będzie narażony na tyle przejść i zniszczeń.

W sercu czuję ogromną wdzięczność dla tych wszystkich, którzy nam na pomoc pośpieszyli i dumną jestem, że Nasza Wolna, Niepodległa, Droga Ojczyzna takich ma synów.

Władysława S. lat 15,
sierota po zarządcy dóbr.

KLASA VIII.

W mroźny, jasny i słoneczny dzień listopadowy, powitaliśmy naszych ukochanych żołnierzy, którzy po dwu tygodniowych rządach ukraińskich objęli Lwów w swe posiadanie. Oczekiwani z taką niecierpliwością i tęsknotą, powitani zostali z prawdziwą, szczerą radością i zapalem. Nikt nie pomyślał o tem, że po tak ciężkich dniach, które przeszliśmy, nadejdą inne, niemniej od tych straszne i nie mniej bolesne dla polskich serc. Ukraińcy, opuszczając miasto, nie wyrzekli się zupełnie myśli posiadania go. Wokoło Lwowa zawrzały zacięte walki ruskich hord z naszymi żołnierzami, a oprócz tego zaczęli Ukraińcy ostrzeliwać z armat miasto i bezbronną ludność. O, straszne to były czasy! Ani opowiedzieć, ani spisać tego nie można. Trzeba było przeżyć, aby pojąć całą grozę naszego położenia. Rankiem wstawało się, a wieczorem usypiało wśród huku dział, świstu kul i ustawicznej trwogi o życie swoje i swoich najdroższych. Nieraz wśród nocy budziły mnie huki pękających w pobliżu granatów i szrapneli. Wtedy wstawałam z łóżka, patrzyłam przez okno na przelatujące ogniste kule, niosące śmierć i zniszczenie i wciąż zadawałam sobie jedno pytanie: „Za co, o Boże, za co oni nas tak nienawidzą? Wszakże ojcowie i praojcowie nasi walczyli niegdyś za ich i naszą wolność ze wspólnym wrogiem. A dzisiaj oni, synom i wnukom tych swoich obrońców płacą taką niewdzięcznością i nienawiścią. Potem przychodziły myśli o tatku, który pozostał w Kamionce Strumiłowej będącej wówczas pod zaborem ukraińskim, a o którym żadnej nie miałyśmy wiadomości.

Wracałam zwykle do łóżka zalana łzami i w gorącej modlitwie prosiłam Boga o zdrowie dla tatka i zwycięstwo dla naszych żołnierzy.

Tymczasem w ślad za ukraińskimi kulami rzucanemi na miasto, zjawiała się ta biała pani z kosą — śmierć, i jąła przecinać wątki ludzkich istnień. Wiele, wiele porwała ofiar. Zaczęły nas też dochodzić wieści, o bestjańskim obchodzeniu się ukraińskich „herojów“ z polskimi jeńcami. A były te wieści tak przerażająco straszne, dowodzące takiego okropnego zwyrodnienia ze strony Rusinów, że na myśl o tem, ścinała się krew w żyłach, a w sercu wzbierała nienawiść coraz większa. Ponieważ śmierci w tych czasach można było się spodziewać każdej

chwili, poszłam do spowiedzi, aby być na nią przygotowaną. Gdy powiedziałam księdzu o swojej nienawiści do Ukraińców, dał mi taką naukę: „Chrystus kazał wszystkim kochać i wszystkim przebaczać, sam przebaczył tym, którzy go do krzyża przybili mówiąc: „daruj im Ojcie, bo nie wiedzą co czynią“. Naród ruski zły nie jest, tylko ciemny, a przez i to i chwiejny. Ulega złym podszeptom swoich „prowodyrów“. Ty go nie nienawidź, ale raczej proś Boga, aby okazał nad nim Swoje miłosierdzie, aby im dał poznać, że czynią źle“. Odeszłam od konfesjonału i bijąc się w piersi, prosiłam: „Boże, zmiłuj się! Oświeć ich!“ Tak teraz modlę się co dnia.

Stefanja M. lat 16,
córka wachmistrza żandarmerji.

SZKOŁA WYDZIAŁOWA MĘSKA IM. Ks. KORDECKIEGO¹⁾.

KLASA II.

W czasie ostrzeliwania Lwowa przez Rusinów schodziłem spokojnie do piwnicy. Bałem się trochę, ale równocześnie myślałem o swoich braciach i innych naszych chłopcach, którzy byli w okopach i każdej chwili mógł ich granat zabić, gdyż im się chować nie wolno. Prosiłem Boga o zwycięstwo Polaków i ochronę wszystkich od śmierci. Bardzo ciężkie i smutne były pierwsze dni listopada do 22, a później kilka dni w marcu, kiedy Lwów był otoczony przez Rusinów.

Rudolf Cz.

KLASA II.

W czasie ostrzeliwania Lwowa zachowywałem się bardzo spokojnie. Bardzo się bałem. Myślałem sobie, że mnie granat zabije. Ja miałem życzenia, ażeby Polacy strzelali do nich i żeby rozbili ten kanon, którym Rusini strzelali na nas. Dnie były bardzo ciężkie i smutne, w których był wybuch amunicji.

Andrzej L.

KLASA II.

W czasie ostrzeliwania Lwowa zachowywałem się odważnie, gdyż chodziłem na pozycję odcinka Bema. Bałem się tylko jeden raz, jak była eksplozja na kolei. Myślałem sobie, że Ukraińcy wkroczyli i wre taka silna bitwa. Życzyłem sobie, aby nasi zwyciężyli. Ciężkie i smutne były dni, gdy odcięty został Lwów od Przemyśla.

Władysław Z.

¹⁾ Szkoła ta znajduje się w dzielnicy zamieszkałej przeważnie przez uboższą ludność.

KLASA II.

W czasie ukraińskiego ostrzeliwania Lwowa ja nie siedziałem w piwnicy i wcale się nie bałem, ale myślałem, że mnie kula zabije. Ja nie uciekałem. Jak szedłem przez ulicę, życzyłem sobie, ażeby się skończyła wojna. Dniem najsmutniejszym dla mnie był ten, w który zobaczyłem zabitego legionistę. *Jan B.*

KLASA III.

W czasie ostrzeliwania miasta w domu wszyscy byli smutni, lecz ja nie tracąc nadziei, wiedziałem, że wojska nasze bohaterские wyprą wroga z pod Lwowa. Mieszkam przy ulicy Bema, gdy w listopadzie wrzała walka i kule karabinowe świwały nad głową, wówczas nie bałem się zupełnie. Dopiero w lutym i po wybuchu amunicji, gdy granaty zaczęły pękać nad miastem, wówczas chroniłem się w piwnicy. Wówczas myślałem sobie, żeby nadeszły wojska polskie i rozgromiły armję ukraińską. Życzenia miałem, żeby Bóg ochronił dom, w którym mieszkam i żebym chodził do szkoły, szczęśliwie ukończył trzecią klasę. Dni miesiąca listopada i lutego były najcięższe. *K.*

KLASA III.

Podczas ostrzeliwania Lwowa zachowywałem się smutno, grzecznie i cicho. Bałem się nadzwyczaj granatów, a najwięcej gazowych dlatego, że od granatów uciekałem do piwnicy, a od gazowych musiałem iść do mieszkania, ponieważ bym był zatruty. Wówczas myślałem, że w każdej chwili może granat uderzyć i mnie poranić lub zabić. Podczas ostrzeliwania miałem życzenia, żebym mógł choć przesiedzieć noc spokojnie, a gdy nadszedł dzień, miałem inne życzenia, żeby nie trzeba było chodzić po wodę. Dni były bardzo ciężkie podczas hajdamackiej ofensywy, gdyż nie można było zjeść obiadu lub kolacji, nieraz już wiedziałem, kiedy zaczną strzelać. Nieraz zaczęli rzucać granaty o pół do dziesiątej, o drugiej i o piątej nad ranem.

Edward W.

KLASA III.

W czasie ostrzeliwania Lwowa z początku siedziałem w domu spokojnie, później pomagałem naszym żołnierzom przy-

nosząc im amunicję i żywność. Bardzo się nie bałem, ponieważ jestem Polakiem, a Polak rodowity niczego się nie boi, nawet śmierci. Myślałem sobie, że gdybym był większy, to poszedłbym także walczyć i bronić naszego Lwowa. Życzyłem sobie, żeby się ta wojna jak najprędzej skończyła, żeby nasi zwyciężyli i żeby się szkoła rozpoczęła. Najgorsze dni były, jak Lwów był odcięty od innych miast i jak Ukraińcy ostrzeliwali miasto.

Stanisław W.

KLASA IV.

W czasie ostrzeliwania Lwowa siedziałem w domu, a rzadko kiedy wychodziłem na ulicę, z powodu ciągłej strzelaniny. Wiele dni i nocy siedzieliśmy w piwnicy. Nie bałem się tak bardzo, ale byłem przygotowany na śmierć od pocisków hajdamackich. Wówczas myślałem sobie o naszych braciach, którzy walczyli w obronie Ojczyzny naszej i o tych, co dostali się do niewoli hajdamackiej, gdzie musieli znosić wielkie męczarnie i nieludzkie obchodzenia się z nimi. Życzeniem mojem i jedynem pragnieniem było zwycięstwo dla Polaków, oswobodzenie Lwowa z pod srogięgo jarzma niewoli ukraińskiej i żeby Pan Bóg tych chciwych hajdamaków srodze ukarał. Przeżywałem wiele ciężkich i smutnych dni jak 1 listopada, 20, 21, 22, 23 i 24 grudnia, ale najsmutniejszym, zarazem najstraszniejszym dniem był dla mnie dzień Bożego Narodzenia 25 grudnia, gdzie w dniu tym zobaczyłem swego drogiego braciszka, który został w straszny sposób przez barbarzyńskich hajdamaków zamordowany i odprowadziłem go po raz ostatni na wieczny odpoczynek.

Adolf K. lat 10.

KLASA IV.

W czasie ostrzeliwania miasta byłem przy wojsku polskim. Nie bałem się, bo byłem w każdej chwili przygotowany na śmierć za Ojczyznę, ponieważ ciągle barbarzyńiec gęsto ostrzeliwał nasze placówki. Myślałem sobie, że cała placówka rozsypie się w gruzy. Modliłem się, aby naszym poszczęściło się, żebyśmy mogli wypchać tych złoczyńców. Od 8 kwietnia do Wielkiej Nocy bardzo ciężkie były dni i smutne.

Kazimierz L. lat 11.

KLASA IV.

W czasie ostrzeliwania Lwowa schodziłem do piwnicy. Bałem się bardzo, bo granaty świstały; wtedy zrywałem się z łóżka i uciekałem do piwnicy. Wówczas myślałem sobie, że Lwów w gruzy obróci. Myślałem sobie, żeby pomoc przysłała i wypędzili Ukraińców. Dnie były ciężkie, wtedy, kiedy był wybuch amunicji na dworcu Czerniowieckim. *Edward Ch.*

KLASA IV.

W czasie ostrzeliwania Lwowa zachowywałem się dość spokojnie; w południe i wieczorem kiedy zaczynała się ofensywa i leciały granaty i szrapnele, stałem na ganku lub w którejkolwiek bramie i słuchałem świstu i pękania granatów i szrapneli, gdy nasi zdobywali Górę stracenia, było tak parno i gorąco, choć już był listopad, że żołnierze, którzy Górę stracenia zdobywali, a pomiędzy którymi ja byłem i o mało nie zginąłem, bo kula przeleciała mi nad głową, gdyby nie porucznik, który zawołał mnie po wodę do maszynowego karabinu. Kiedy donosiłem amunicję jakiś nierozumny Rusin strzelał z rewolweru z odległości 300 króków, lecz kula nie doleciała, bo padła o jakie 30 kroków od nas, a żołnierz idący z nami strzelił za nim z karabinu, kula trafiła w pobliski kamień; kawałek kamienia uderzyła Rusina pod oko i koło pulsu, Rusin poddał się w ręce Polaków, porucznik dał mu kartkę możności odejścia do domu, bo ~~na~~ nie brali w niewolę z początku. Gdyśmy doszli do Góry stracenia, Rusini zaczęli ostrzeliwać nas, przeczuwając, że donosimy amunicję, bo amunicja wyczerpywała się; lecz ruskie kule nie trafiały do celu i donieśliśmy amunicję szczęśliwie żołnierzom. Nasi zaczęli strzelanie z maszynowego karabinu, Rusini cofnęli się; w ten czas chorąży Rusinów wysunął się — żołnierz polski spostrzegł go, zmierzył, strzelił i trafił Rusina w ucho. Wówczas myślałem sobie, jakby zniszczyć Rusinów i wrzała we mnie wściekłość, kiedy zobaczyłem zamordowanego legionistę.

Dnie ciężkie i smutne były wtenczas, kiedy zobaczyłem straszne męczarnie jednego polskiego żołnierza i kiedy nie było zawsze co jeść. Na drugą noc odszedłem z placu pośród kul do domu.

Erazm G.

KLASA IV.

W czasie ostrzeliwania nosiłem amunicję do Sienkiewicza szkoły i byłem tam ordynansem. Nosiłem rozkazy i chowałem je do maciejówki. Walczyłem za ojczyznę. Ja się nie bałem i modliłem się za Polskę. Myślałem, że zginę, jak upadł szrapnel naprzeciw naszej kamienicy, to się zląkłem. Dnie były ciężkie i smutne, w dnie zaduszne, w popielec i w niedzielę wielkanocną.

Edward B. lat 10.

KLASA V.

Rano 1/XI 1918 r. wyszedłem drogą do dworca, naprzeciw mego taty, który miał przyjechać z Tarnopola i ku wielkiemu zdziwieniu ujrzałem karabin maszynowy nastawiony do ludzi i samochód, na którym znajdował się również karabin maszynowy a obok stojący żołnierze ukraińscy strzelali w górę i wołali „rozchodyty sia“. Żdziwiony zapytałem się, co to wszystko znaczy. Odpowiedziano mi, że to jest Ukraina. Doznałem bardzo przykrego uczucia, jakiś dziwny żal i lęk mnie ogarnął i z tą przykrą wiadomością pobiegłem do mamy. Mama mi z początku wierzyć nie chciała, ale poszła przekonać się sama, a gdy wróciła, w domu zapanowało wielkie przygnębienie i rozpacz. Może za jakie dwie godziny dowiedziałem się w sekrecie, że w szkole Henryka Sienkiewicza zbierają się legioniści a także i chłopcy, pobiegłem tam szybko, gdzie zastałem kilku chłopców, przyłączyłem się do nich i udaliśmy się za Gródecką rogatkę, tam rozbiliśmy barak i każdy, ile mógł, najwięcej brał karabinów i zanieśliśmy do szkoły Sienkiewicza i nawet nie spostrzegłem, jak mi dzień zeszedł. Około siódmej godziny wracałem do domu i na rogu ulicy Królowej Jadwigi spotkałem zmartwioną mamę, która mnie szła szukać. Na widok mojej mamy przypomniałem sobie, że jestem głodny i w krótkości opowiedziałem, gdzie byłem cały dzień. Mama mnie pochwaliła, ale zarazem wyraziła niepokój o mnie. Na drugi dzień znowu byłem w szkole i znów ta sama praca, a nasi zaczęli dobrze bić hajdamaków, biegałem i śledziłem przebieg bitew i byłem bardzo uszczęśliwiony, gdy nasz karabin maszynowy zaczął na dobre bić hajdamaków. Ach, cóż to za uciecha była, kiedy nasi zdobywali automobile z karabinami maszynowymi. Miałem sposobność nawet z okien naszego pokoju śledzić przebieg

bitwy, jak nasi zwyciężali. Wtedy zawołałem: „Mamo, nasi zwyciężają!” i miałem ochotę uciec z domu jak nasi towarzysze, ale mama mię prosiła, żebym tego nie czynił, bo gdyby hajdamacy zrobili ze mnie kalekę, co by wtenczas było? Dzień po dniu mijały bitwy, Ukraińcy bili z cytadeli i z Wysokiego Zamku granatami na miasto, siedzieliśmy wszyscy jak w więzieniu, bo wyjść było niepodobna na ulicę.

Jednego wieczora przybyli krakusy, dzielni to chłopcy, bo gdyśmy rano wstali, znaku nie było po Ukraińcach, wszędzie była radość wielka. Później dowiedziałem się, że nasi zdobyli Glinną Nawarję. Dnia 8/XII 1918 wybrałem się z moim kolegą po mleko. Gdy dochodziliśmy do Nawarji, spotkaliśmy ciężko rannych legionistów, Jeden poznał mego kolegę i przywołał go do siebie. Dał nam list do swojej matki, ale prosił, żeby nie mówić, że on jest ranny. A jednak był ciężko ranny w nogę i mówił: „Rozpacz mię porywa, że jestem tak blisko Lwowa i muszę zostać w niewoli u hajdamaków“. Drugi nic nie mógł mówić, bo miał dolną szczękę urwaną. Było nam bardzo żal i chcieliśmy ich wziąć na sanki, lecz w tejże chwili wyszedł Ukrainiec na ostro i nas aresztował. Zaprowadził nas do Nawarji, pop kazał nas jako szpiegów odwieść do Szerca. Było to wieczorem. Pozeskakiwaliśmy z fury i uciekliśmy do znajomej kobiety. Na drugi dzień znowu udaliśmy się do Nawarji, żądaliśmy przepustkę do Hodowic, lecz on nam dał z powrotem do Glinny. Wtenczas przesunęliśmy się rowem do Hodowic, a stamtąd szczęśliwie do domu. Po drodze spotkaliśmy się z legionistami, powiedzieliśmy im, jak sytuacja stoi. Później Ukraińcy oblegli Lwów i ostrzeliwali go. Jeden z pocisków trafił na wóz z amunicją i spowodował straszną eksplozję. Zdawało mi się, że już cały Lwów pójdzie w gruzy. Przez ten czas cierpieliśmy straszny głód i biedę. Aż oto przybyli Poznańczycy, Warszawiaci i odparli od Lwowa Ukraińców. Gdy przyjechał generał Iwaszkiewicz, oswobodził nas całkiem od Ukraińców.

Roman P.,

syn konduktora kolejowego.

KLASA V.

Pojawienie się uzbrojonych Rusinów w dniu 1 listopada na ulicach Lwowa, wywarło na mnie wielkie wrażenie. Usłyszawszy, że na Polnej biją się Polacy z Rusinami, pospieszyłem

tam z ciekawością i byłem świadkiem, jak pięciu Polaków prawie bez broni zdobyło dwa samochody z Rusinami (bo o żadnych Ukraińcach jeszcze nie słyszałem). W trzy dni potem widziałem walkę u rogu ul. Kolejowej. Nie bałem się świstu kul, lecz dziwnego doznałem uczucia, zobaczywszy ranionego sierżanta polskiego. Później nie mogłem wychodzić z domu (co najwyżej do bramy) gdyż przy ul. Kleparowskiej, gdzie mieszkam, przez trzy tygodnie trwała walka z ciągłą zmianą, tak dla naszych jak dla Rusinów, bo nasi nie mieli wiele żołnierza. Gdy już wreszcie nasi otoczyli ulicę Kleparowską, przedzierałem się na polską stronę z bratem, by odwiedzić krewnych i znajomych, a przytem postarać się o żywność i „Pobudkę“. W tym czasie już się nie bałem, a wybiegłszy na ulicę śmiałem się z Rusinów z daleka. W dzień ustąpienia ich ze Lwowa, pobiegłem do miasta, by oglądać spustoszenia. Granaty pękały, lecz nie doznałem od nich krzywdy. Chodziłem do braci (bo dwóch jest przy wojsku) do Skniłowa i Sokolnik i to w czasie bitwy. Podczas wybuchu amunicji na dworcu przypatrując się z daleka ogniovi, słyszę świst i o parę kroków odemnie padł granat w mur, lecz nic mi nie zrobił. I tak chodząc do szkoły, doczekałem się zupełnego pobicia Rusinów w Galicji wschodniej.

Władysław H.,
syn wdowy po stolarzu.

KLASA VI.

Pierwszego listopada idąc do kościoła widziałem rozbrajanie wojska austriackiego przez Rusinów. Od czasu do czasu strzelanina powtarzała się. W nocy zaczęła się już bitwa na dworcu, która zakończyła się zwycięstwem Polaków. W szkole im. Sienkiewicza zebrała się młodzież szkolna i wyruszyła przez ul. Polną, zdobywając na ul. Leona Sapiehy automobil ukraiński z karabinami i amunicją.

Placówki podczas walk w mieście były: Bema, Poczta główna, Dyrekcja kolejowa i cytadela.

Posiłki przychodzące z Krakowa, wkrótce wyparły Rusinów za miasto. Dnia 20/XII wstąpiłem do wojska i zostałem przydzielony do 1 komp. Telegr. Tabor. Powodziło mi się nie źle, ale także zaznałem zimna, głodu i niedostatku. W dzień Bożego Narodzenia było mi przykro, bo nie wiedziałem nic o rodzicach, ale stłumiłem ten smutek w zabawie z przyjaciółmi.

Po Bożem Narodzeniu wysłano nas na front pod dowództwem sierżanta Ratajczaka na Persenkówkę. Pewnego razu stoję na posterunku koło domu, gdzie byli żołnierze, upadł tam granat i zabił dwóch moich kolegów, a ja tylko poczułem wielkie uderzenie cegłą w plecy, a także jednego ranił. Smutno było nam, bo przyjeżdżając do kompanji, zostawiliśmy dwóch zabitych a rannego zawieźliśmy do szpitala. Rusini silnie ostrzeliwali miasto, zabijając i kalecząc bezbronnych ludzi. W kompanji pełniłem służbę wartowniczą. Pewnego razu stoję od 10—12 na posterunku i marzę o rodzinie, zajętej przez Rusinów, wtem słyszę wystrzał i gwizd kuli. Zerwałem się prędko i czekam. W tym to czasie upadł granat gazowy przed centralę i eksplodował. Wtedy upadłem na ziemię nieprzytomny. Na ten czas szedł Trębusiewicz, kolega mój do miasta. Widząc to zadzwonił na komendanta warty, aby mię zmienić. Komendant warty przyszedł z posterunkiem objąć służbę, a mnie wzięli na wartownię i tam przyszedłem do przytomności. W czasie wybuchu amunicji także byłem narażony na śmierć. Wtedy to dużo ludzi padło. Było to w nocy o godzinie pół do trzeciej, od ulicy Bartosza Głowackiego stałem, a z drugiej strony od ul. Chocimskiej stał Wasylkowski. Zaczęli Rusini na Persenkówce z pancerni strzelać granatami na naszą stację iskrową, a jeden z granatów uderzył w stajnię, dotykającą się baraku, w którym była stacja iskrowa i zaczęła się palić. Gdy zobaczyłem ogień, dałem znać komendantowi warty, który zatelefonował zaraz do straży pożarnej, a warta cała rzuciła się do ratowania. Po wyratowaniu wszystkich aparatów i materiałów przyjechała straż pożarna i zagasila ogień, a po 3 godzinach zmieniły następne posterunki. Dnia 20/IV wyjechaliśmy na front za Sambor, byłem także w wielkim niebezpieczeństwie i nie wiedziałem, czy wróce, ale Pan Bóg wszystkich nas ocalił. Wesolo nam było, gdy po 10 dniach wróciliśmy wszyscy zdrowi. Gdy przyjechałem do Przemyśla, zaraz stanąłem do raportu o urlop do szkoły. Dostałem go i teraz chodzę do szkoły.

Walerjan S.,
syn wdowy po gajowym.

KLASA VI.

W niedzielę ojciec przyszedł ze Lwowa ze służby z kolei i mówił, że Ukraińcy wystąpili zbrojnie przeciw Polakom. Gdy ojciec to powiedział, bardzo się cieszyłem, że Polacy biją się

o niepodległość swoją, a ja będę mógł brać udział w walce. Dziesiątego poszedłem do Lwowa, dostałem karabin. Jedenastego napadły sąsiednie wsie ruskie rabując i zabierając do niewoli bezbronnych ludzi. Ja chodziłem przebrany i poznawałem chłopów, których później aresztowano. Wieczór przyszli Polacy, rano wstąpiłem do wojska. Myślałem, że Ukraińców pobiją, a za miesiąc nic słyhać nie będzie o nich. Stojąc na posterunku, cieszyłem się, że mogę pomóc powstającej Ojczyźnie. Świstu kul nie bałem się. Jedenastego stycznia wpadli Ukraińcy do Zimnej Wody. Ja stałem wówczas na placówce we dworze w Zimnej Wodzie. Rano śpiąc przebudzam się a słysząc strzały zbudziłem brata, który wszystkich zbudził. O szóstej zmieniłem posterunek. Na posterunku stałem tylko pół godziny, bo dano rozkaz cofać się na stację. Ze Mszany przyszła pomoc i atakowaliśmy na Łapajówkę. Do czwartej po południu nic nie jadłem, aż dopiero w ataku chleb pozostawiony przez Ukraińca. Wracam z Łapajówki, słyszę strzały ze dworu, oglądam się, matka mówi: „Uciekaj, Ukraińcy we dworze“! Uciekłem do toru kolejowego a stąd ostrzeliwaliśmy dwór kartaczami z pancerki. Gdy atakowaliśmy na dwór, to krzychałem „hura“! Było nas sześciu, z drugiego boku coś dziesięciu, atakowaliśmy na 5 maszynek. W niedzielę wycofaliśmy się na pole, staliśmy w tyraljerach. Myślałem, jak to się będą bić w tyraljerkach i cofać. Później nazad przyszliśmy do Zimnej Wody. Oni nam spalili Konopnicę, wieś mazurską. Wystąpiłem z wojska, bo mówiono, że będzie nauka. Nauki jeszcze nie było, byłem w domu i brali mnie do okopów Warszawiaci, którzy po cztero-miesięcznej służbie zmienili nas z placówek. Teraz chodzę do szkoły i oczekuję końca wojny i zwycięstwa Polski.

Kazimierz S.,

syn robotnika kolejowego z Zimnej Wody, stacji przy Lwowie,
skąd do szkoły we Lwowie dojeżdża.

KLASA VII.

• W listopadzie niespodzianie zajęli Ukraińcy Lwów i rozpoczęła się ta straszna walka uliczna między Ukraińcami i Polakami. Byliśmy zupełnie niezaprowiantowani tak, iż po prostu o każdy kęs chleba i każdy ziemniak, trzeba było narażać życie. Chcąc dostać kilka kilogramów kartofli, wybrałem się aż

za rogałkę, nie zważając zupełnie na kule karabinowe, które świsnęły mi nad uchem. — Ze zgrozą myślało się o dniu następnym, o tych wędrówkach wśród kul po prowiant. Po oswobodzeniu Lwowa męka nie skończyła się — życie było po prostu niemożliwe. Brak wody dał się najbardziej odczuć. Po trudach całodziennych noc, spokojnie przespana, byłaby odpoczynkiem dla nas. Ale te pamiętne nocy zimowe były okropne, ponieważ Ukraińcy w nocy najbardziej ostrzeliwali miasto. Ponieważ mieszkamy na najwyższym piętrze, musieliśmy prawie co noc, zbudzeni strzałami, w pośpiechu ubrać się i schodzić do piwnicy. Także i w dzień wyjść na miasto było niebezpieczne. Przez cały ten czas miałem dość zajęcia. Wczesnym rankiem z dwoma dzbankami chodziłem po wodę do studni, przy których stało bardzo wiele osób. Nieraz w największy mróz ustawiałem się w ogonku, czekając dwie a nawet i więcej godzin na moją kolej. Zdarzało się czasami, że w pobliżu studni granat padł. W jednej chwili powstało straszne zamieszanie, krzyk kobiet, płacz dzieci — wszystko rozbiegło się, kryjąc się po domach. Chodziłem też po kartofle do miejskiego sklepu, stojąc w ogonku po kilka godzin. Takie wystawanie było bardzo niebezpieczne, gdyż granaty padały zwyczajnie o tej porze, tak iż parę kilogramów kartofli można było życiem przepłacić. Z takich zakupów wracałem zwyczajnie bardzo zmęczony, uczyć się w tych czasach nie mogłem. Wieczorem przeglądałem dzienniki lub czytałem książkę. Ukraińcy ostrzeliwali miasto bardzo często. Szczególnie nocy były okropne. Dookoła nas ciemność, a cisza nocna przerywana okropnym hukiem armatnim. Zrywając się ze snu, słyszałem taką kanonadę armatnią i myślałem, że całe miasto Ukraińcy zbombardują, a wszyscy mieszkańcy wraz ze mną znajdą straszną śmierć pod gruzami lub rozszarpani zostaną granatami. Z chwilą, kiedy strzelanina ustała, uspokoiłem się nieco, ale wciąż nadśluchiwałem, czy nie uderzy granat w pobliżu. Z utęsknieniem oczekiwałem ranka. Ale dzień następny nie przyniósł nam nic pocieszającego. Jak w nocy tak i w dzień granaty padały na miasto. Z trwogą oczekiwałem powrotu ojca, bojąc się o jego życie. Z radością i otuchą ulgi przyjęliśmy wiadomość o cofnięciu się Ukraińców, a tem samem, że już żadne niebezpieczeństwo nie grozi miastu. Po okropnie przeżytej zimie, kiedy straciliśmy prawie zupełnie na-

dzieję, że będą lepsze i spokojniejsze czasy, zostaliśmy wszyscy z tych cierpień wyzwoleni.

Leon B.

lat 15, syn rzemieślnika.

KLASA VII.

Dnia 1 listopada 1918 roku wpadli Rusini do Lwowa i rozbijali wszystkich żołnierzy. Popołudniu byłem w szkole Sienkiewicza i na rogu Polnej ulicy, gdzie odbieraliśmy Rusinom karabiny. O godzinie 8-mej wieczór polska patrol na ulicy Polnej wystąpiła do walki z Rusinami, którzy jechali automobilem z dworca głównego. Rusinów pobito. W nocy wyruszyli Polacy na dworzec. Nad ranem zdobyto dworzec i następujące ulice, aż pod koszary Ferdynanda, zaś ulicą Leona Sapiehy pod cytadelę. Tak trwały walki w mieście. Przez czas pobytu Rusinów na tamtej stronie miasta, artylerzyści ruscy celowali pociskami armatnimi na dworzec z Wysokiego Zamku. Pociski zaś nie znając dobrze Lwowa i дворя, rozbijały okoliczne kamienice. Tak trwało do 22. W nocy z 22 na 23 listopada po przybyciu posiłków z Krakowa, Przemyśla i Rzeszowa zdobyli Polacy Lwów. Radość była niezmierna, ale tylko dla Polaków! Po odparciu Rusinów, granaty leciały codziennie na Lwów i rozbijały kamienice i szyby. Najstraszniejsze były: środa popielcowa, w którą to amunicja wybuchła na dworcu czerniowieckim, niedziela po środzie popielcowej, w którą to granat upadł do kościoła św. Elżbiety, bijąc i raniąc bezbronnych ludzi podczas niesporów.

Naprzeciw naszej kamienicy uderzył w ten sam dzień o godzinie 11-tej w nocy. Ciągłe siedzieliśmy w piwnicach i czekaliśmy niecierpliwie końca. Aż w wielką sobotę Polacy zrobili atak na Persenkówkę. Całą noc armaty grały, ale ja się nie bałem, bo wiedziałem, że to Poznańczycy biją hajdamaków. Rusinów pobito strasznie, którzy cofali się w popłochu. Za tydzień odparto ich z Malechowa i Brzuchowiec. We Lwowie był spokój, ludzie, jakby zwierzęta wypuszczone z klatki, chodzili tłumnie po mieście.

Teraz po całym czasie przeraźliwego wycia granatów ruskich, sypiałem w domu i już nie obawiałem się, że granat wpadnie i zabije mi ojca chorego, leżącego na górze w domu. Zawdzięczamy to głównie żołnierzom Polakom z Poznania, którzy przyszli tu na tę ziemię bronić kresów Rzeczypospolitej polskiej pozostawiając po sobie mogiły. Cześć „Poznańczykom“.

Adam W.

